Nr. 12

Cena gr. 70



MŁODA MATKA



DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ZDROWIU I WYCHOWANIU DZIECKA DO LAT 7-MIU

PISMO POPIERANE PRZEZ POLSKIE TOWARZYSTWO PEDJATRYCZNE



Taki duży,

a z każdym dniem jeszcze większy. Matka mówi: „Rośnie w oczach!"

Nic dziwnego. NESTLE'A MĄCZKA DLA DZIECI służy mu doskonale.

Skład tego produktu, oparty na ściśle naukowych podstawach, czyni z niej pełnowartościowy pokarm dla dzieci.



NESTLE AND ANGLO-SWISS CONDENSED MILK CO.
Oddział na Polskę; Gdańsk Krebsmarkt 7/8.

Po otrzymaniu tego kuponu wysyłamy bezpłatnie próbną puszkę Nestlé'a mączki dla dzieci oraz broszurkę Dr. Vidala p. t. „Rady Lekarza dla młodych matek".

Miejscowość: ....

Nazwisko: ....

Ulica i Nr.: ....

HAFTÓW

artystycznych, kościelnych, dekoracyjnych, opartych na motywach swojskich oraz wiele innych robót ręcznych

NAUCZYSZ SIĘ NA

hafciarskich Kursach

Wandy Korwin-Piotrowskiej

WARSZAWA
Marszałkowska 53 (bez litery) m. 22, tel. 422-64.

Kurs Zawodowy i Amatorski

UWAGA!

Prenumeratorki dwutygodnika „Młoda Matka" korzystają na kursach z ulgowej opłaty

ROK IV

Nr. 12.



MŁODA·MATKA



DWUTYGODNIK·POŚWIĘCONY·ZDROWIU I·WYCHOWANIU·DZIECKA·DO·LAT·SIEDMIU

POPIERANY-PRZEZ-POLSKIE-TOWARZYSTWO-PEDJATRYCZNE

DRUGI ZESZYT CZERWCOWY 1930 R.

RENA JEST „STRASZNIE ROZGNIEWANA" RZUCIŁA SIĘ NA ŚCIEŻKĘ W OGRODZIE, KOPIE NÓŻKAMI I POKAZUJE JĘZYK.

Niebezpieczeństwo gruźlicy na letnisku

Wyjazd letni na wieś lub na letnisko pociąga często za sobą zetknięcie się dziecka z szeregiem osób mało znajomych. Mieszkanie we wspólnej willi, niekiedy w pensjonacie, wspólne werandy zmuszają do bliższego zetknięcia się z ludźmi, o których właściwie nic się nie wie. Szczególnie zaś małe dzieci, zyskując sympatję szeregu dorosłych ludzi, przechodzą z rąk do rąk, przesiadują na kolanach, mile są widziane jako goście na sąsiednich werandach i t. d.

Powyższe jednak jest związane z pewnem niebezpieczeństwem, szczególnie o ile chodzi o miejscowości, które zyskały sławę, jako uzdrowiska przeznaczone dla leczenia cierpień płucnych. Wśród osób, stykających się z dziećmi, możemy spotkać tu ludzi z czynną sprawą gruźliczą, niebezpieczeństwo więc zakażenia dzieci gruźlicą jest duże. Wiemy, że często już jednorazowe zetknięcie się małego dziecka z osobnikiem chorym może spowodować zakażenie się dziecka gruźlicą i szybki złośliwy przebieg tego cierpienia. Dla dzieci zaś starszych chociaż jednorazowe zetknięcie się z chorym nie zawsze pociąga za sobą tę groźną chorobę, to jednak długotrwałe obcowanie może również wpłynąć bardzo niepomyślnie na dalszy przebieg zakażenia gruźliczego.

Co pewien czas widuje się przypadki groźnego, często o śmiertelnym przebiegu schorzenia gruźliczego, powstałego na skutek zakażenia się gruźlicą podczas pobytu na wsi. Przytaczam przypadek zaczerpnięty z poradni przeciwgruźliczej. Do poradni zgłosiła się w maju matka z 5-letnią dziewczynką Dziecko przy badaniu nie wykazywało żadnych zmian chorobowych i nie było zakażone gruźlicą. W lecie dziecko wyjechało wraz z matką do uzdrowiska, uczęszczanego przez chorych na gruźlicę płuc i zamieszkało we wspólnej willi z bardzo miłą staruszką, która miała osobny pokój z werandą. Dziecko zaprzyjaźniło się ze staruszką i często przesiadywało u niej na werandzie. Po upływie paru miesięcy staruszka umarła i dopiero wówczas matka dowiedziała się, że była ona chora na gruźlicę. Przy badaniu w jesieni w poradni stwierdzono u dziecka zakażenie gruźlicze, w listopadzie zaś dziecko zmarło z powodu gruźlicy.

Podobne przypadki bynajmniej nie należą do rzadkości. Stąd wniosek:— na letniskach, w uzdrowiskach, na wsi należy unikać ludzi mało znajomych i nie pozwalać na bawienie się im z dziećmi. Względy uprzejmości w tym wypadku nie powinny odgrywać żadnej roli, bowiem taką fałszywą delikatność zbyt drogo czasem można przepłacić: stawiamy przecież na kartę zdrowie ,a nawet życie dziecka. W szczególności dotyczy to niemowląt i dzieci małych.

Dr. S. Popowski.

Konflikty w leczeniu zdrojowem matki i dziecka

Po przeczytaniu „Piekła Kobiet“ Boy'a poczułem tyle litości dla biednych uciemiężonych żon i matek, że wydało mi się na moment, iż gotówem im wybaczyć najcięższe nawet przewinienia, lecz już po chwili zawrzałem ponownym, ku tym istotom, gniewem; tym razem jako lekarz zdrojowy.

Oburza mnie mianowicie zdrojowo - klimatyczna polityka wielu matek.

Zawiodą się Szanowne Czytelniczki, jeżeli myślą, że będę rozdzierał szaty z powodu wyjazdów za granicę, zubożania kraju i t. p. Pragnę mówić jedynie o wskazaniach ściśle lekarskich, a nie ekonomicznych. Chodzi mi o częstą rozbieżność tych wskazań dla matki i dla dziecka.

Każdy klimat, każda wysokość od poziomu morza, każdy zdrój zależnie od swego składu chemicznego i własności fizycznych mają zupełnie odrębne wskazania lecznicze. Od trafnego wyboru uzdrowiska zależy pomyślny wynik leczenia; wybór zły bywa nieraz w swych skutkach tragiczny.

„Musi pani wyjechać do zdrojowiska, które leczy przewlekłe stany zapalne kobiecych narządów rodnych“ — mówi do pacjentki jej stary, zaufany lekarz. — „Może to być Busko, Ciechocinek, Druskieniki. Iwonicz, Jaworze, Karlsbad, Krynica, Krzeszowice, Lubień Wielki, Morszyn, Nałęczów, Niemirów, Rabka, Rymanów, Solec, Swoszowice, Truskawiec, Żegiestów; chyba jest z czego wybierać“ — dodał z uśmiechem.

Pacjentka była patrjotycznie usposobiona, mąż obciął znacznie budżet, wobec tego po naradzie z przyjaciółką wybrała Truskawiec. W trzy dni potem zmieniła pod wpływem znajomych decyzję — jedzie do Nałęczowa.

Czteroletni synek miał jechać również i pakował już nawet z powagą swoje „rzeczy“. Było to dziecko wątłe, tran z polecenia tegoż lekarza piło przez całą zimę, łykało poza tem phytinę, żelazo i glycerophosphat.

Na dzień przed wyjazdem matka przypomniała sobie rzecz ważną



Staw w Nałęczowie.



Wodospad pod Jaworzyną

i zatelefonowała natychmiast do doktora — czy aby Nałęczów jest dobry i dla synka.

Doktora nie było w domu. Następnego dnia nastąpił wyjazd.

Oczywiście, że sam Nałęczów chłopcu nie zaszkodził, a może i pomógł, poprostu przez świeże powietrze i słońce, ale przecież w tych zdrojach, które lekarz matce wymienił były tak potężne, wyspecjalizowane w leczeniu schorzeń wieku dziecięcego zdroje, jak: Busko, Ciechocinek, Druskieniki, Rabka.

Na miejscu, w zdrojowisku, nie mającem wskazań i lekarzy dziecięcych, oczywiście matka idzie do ginekologa i znów „przy okazji" prosi o zbadanie synka.

Inna matka, lekko zagrożona gruźlicą, a dość poważnie obciążona pieniędzmi, jedzie do Nicei, aby uniknąć zabójczej polskiej chlapaniny wiosennej. Przy boku ma otyłą, nalaną, bladą, cierpiącą na brak apetytu córeczkę.

Trudno było o lepszy wybór miejsca dla matki, lecz dziecko nie jedzie pod właściwym adresem

Nie słodki, łagodny klimat Jasnego Brzegu jest jej potrzebny, przeciwnie wymaga ona silnych, chłostających jak bat, hartujących bodźców, klimatycznych. Góry, morze, ale północne np. nasz Bałtyk, lub dla amatorów zagranicy Berck-sur-mer, ewentualnie zdrojowiska, posiadające baseny z wysokoprocentową solanką na wolnem powietrzu, oto miejscowości, do których dziewczynka ta winna wyjechać.

Bywają nieporozumienia odwrotne, w skutkach gorsze.

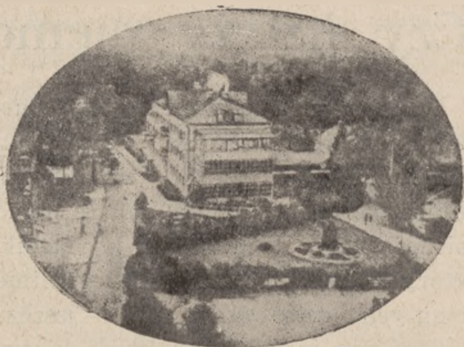
Matka jedzie prowadzić pensjonat

nad naszem polskiem morzem i zabiera ze sobą swe pociechy, dzieci skrofuliczne. Słyszała ona na ostatnim brydżu z ust samego doktora, że morze jest niezrównane na skrofulozę. Ale Dr. S. rzucił to powiedzonko między: „Szlemik w piki", a „ależ pani dobrodziejka fuszeruje" nie mógł więc dokończyć i wyjaśnić, że skrofuloza skrofulozie nie równa, że stan organizmu dziecka, jego zdolność do reagowania na silniejsze lub słabsze bodźce decydować będzie, czy wysłać dziecko w góry, nad morze, czy na równiny. Nasze morze ma klimat surowy i bardzo nieliczną ilość dni sezonu. Działa ono dobrze, hartująco i ćwicząco na dzieci, które zniosą te silne bodźce (dziewczynka z Nicei), lecz może być bardzo szkodliwe dla osłabionych i wychudłych.

Ogromne szkody wyrządza w tych wypadkach moc opinji publicznej. Tak zwani bywalcy zdrojowiskowi, laicy, poznawszy powierzchownie kilka miejscowości kąpielowych, wygłaszają z nadzwyczajną pewnością siebie z gruntu fałszywe ogólniki.



Park sosnowy w Ciechocinku



Czarnecka góra

Dziecko ma prawo być leczone indywidualnie. Matki winny zrozumieć, że ich organizmy i choroby są bardzo różne od organizmów i chorób dzieci, że istnieją zdrojowiska, mające wyłącznie wskazania kobiece, lub wyłącznie dziecięce, a są i takie, które wskazania te znakomicie łączą.

W zdrojowisku dziecko winno być leczone poważnie, przez specjalistę lekarza zdrojowego — pedjatrę, nie „przy okazji".

Przed wyjazdem zaś należy wypytać dokładnie lekarza swego i lekarza dziecka dokąd pojechać. Mamy w kraju tak wielką różnorodność zdrojowisk i stacyj klimatycznych, że prawie we wszystkich wypadkach można wskazania matki i dziecka uzgodnić, przestrzegałbym jednak przed zbyt daleko idącemi kompromisami, gdyż może się to zemścić w postaci:

1) szkód dla zdrowia i

2) darmo wyrzuconych pieniędzy.

Dr. C. Hoppe.

Czy należy niemowlę uczyć siedzieć

Mamusia Kazia wróciła dziś markotna do domu. Przed chwilą spotkała półroczne dziecko znajomych, które już od tygodnia dobrze samo siedzi, gdy tymczasem jej Kazik, który ukończył 7 miesięcy, pomimo ciągłych usiłowań, sam jeszcze usiąść nie może. Jakkolwiek lekarz domowy zapewnia mamusię, że synek jej jest zdrów i dobrze rozwinięty i że lada dzień już sam usiądzie, niepokój nurtuje ją ciągle. Być może, że z dzieckiem swem nieumiejętnie postępuje, być może, że synka swego powinna uczyć siedzieć, tak, jak go uczy jeść łyżeczką i przyzwyczaja do czystości.



Niemowlę 28-o tygodniowe

Zastanówmy się, czy rozumowanie powyższe jest słuszne.

Zdrowe niemowlę w 6-tym miesiącu życia rozpoczyna próby samodzielnego siadania. Początkowo chwyta się rączkami za krawędzie wózka i stara się unieść coraz wyżej, wreszcie po wielokrotnych wysiłkach, powtarzanych przez szereg dni, udaje mu się przybrać pozycję siedzącą ku wielkiej radości całego otoczenia.

Zazwyczaj niemowlę w 7-ym miesiącu umie już siedzieć samodzielnie. Zachodzą tu jednak pewne wahania. Są dzieci bardzo ruchliwe, żywe z usposobienia, które osiągają szybki rozwój swych czynności statycznych. Dzieci te wcześnie zaczynają siadać, stawać na nóżki i chodzić. Inne znowu — do których zaliczyć można w pierwszym rzędzie dzieci otyłe — z usposobienia bardziej apatyczne, osiągają te umiejętności nieco później. Jakkolwiek prawidłowy rozwój czynności statycznych jest naogół jednem z ogniw, składających się na harmonijny rozwój niemowlęcia, nie należy myśleć, że opóźnione nieco siadanie dziecka, jest bezwzględnie zawsze objawem chorobowym.

Niepokój matek jest o tyle usprawiedliwiony, że w istocie, opóźnienie samodzielnego siadania niemowlęcia jest często wyrazem pewnych zabu-

rzeń w rozwoju dziecka. A więc późno siadać zaczną dzieci wyniszczone jakąś długotrwałą chorobą, dzieci dotknięte schorzeniem układu nerwowego mięśni i t. p., wreszcie najczęstszą przyczyną opóźnionego siadania jest krzywica (angielska choroba). Dlatego też w każdym przypadku, gdy starsze niemowlę wykazuje wielką niechęć do wykonywania wysiłków fizycznych, winno być zbadane przez lekarza, który ustali przyczynę tego zjawiska i zastosuje odpowiednie leczenie. Będzie to jedyne, racjonalne postępowanie, natomiast błędem jest sadzanie niemowlęcia pomimo jego chęci i woli.

Aby niemowlę samodzielnie usiadło muszą jego mięśnie, kości i stawy osiągnąć pewne maksimum sprawności, by umożliwić mu wykonanie tej czynności. Jeśli niemowlę jeszcze samo nie siedzi, jest to dowodem, że jego narządy ruchowe jeszcze do funkcji tej nie dojrzały, naodwrót samodzielne siadanie niemowlęcia świadczy o prawidłowym rozwoju powyższych narządów.

Cóż się stanie, jeśli matka będzie gwałtownie forsować siadanie niemowlęcia? Ponieważ w danej chwili ustrój dziecka nie jest jeszcze do tej czynności przygotowany, dziecko szybko odczuje zmęczenie, zacznie przybierać nieprawidłowe położenie ciała, a rezultatem tego może być skrzywienie kręgosłupa. Zwłaszcza niebezpieczne jest sadzanie niemowląt krzywicznych, u których miękkie, podatne kości specjalnie sprzyjają powstaniu powyższych skrzywień.

Streszczając, można powiedzieć: w każdym przypadku, jeśli starsze niemowlę jeszcze samo nie siedzi, należy zasięgnąć rady lekarza, by stwierdzić, czy nie jest to wynikiem jakiegoś niedomagania, które usunięte być może na drodze odpowiedniego leczenia. Jeśli dziecko jest zupełnie zdrowe, należy uzbroić się w cierpliwość, nie robić zaś niepożądanych dla niemowlęcia prób siedzenia.

Jedną tylko radą możemy służyć matkom. Ponieważ opóźnienie siadania niemowlęcia jest bardzo często objawem krzywicy, należy starać się zapobiegać jak najwcześniej tej chorobie, przez wynoszenie niemowlęcia od pierwszych tygodni życia na powietrze, nieprzegrzewanie, podawanie soków i jarzyn, oraz zimą tranu.

Dr. M. Stopnicka.

Kilka słów o przechowywaniu mieszanek podczas lata

Wobec ciepła i zbliżających się upałów aktualną staje się sprawa przechowywania w ciągu całej doby mieszanek i mleka dla niemowląt.

Zepsute mleko lub mieszanka mogą spowodować u niemowląt nawet ciężkie zaburzenia żołądkowo - jelitowe.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę taką

wieś, na której możemy mieć mleko świeże dwa lub trzy razy dziennie, to kwestja przechowywania mleka i mieszanek nie odgrywa specjalnej roli. W tych warunkach mieszanki mogą być przygotowywane kilkakrotnie w ciągu dnia, z różnych udojów mleka.

Inaczej przedstawia się ta kwestja w mieście lub na letniskach, gdzie zazwyczaj tak mleko jak i mieszanki są dostarczane raz dziennie. Tutaj musimy dbać o to, aby mleko lub już gotowe mieszanki przechować w takich warunkach, ażeby uniemożliwić rozwój bakteryj, powodujących fermentację tychże.
Zaczyna się sprawa od tego, że spreparowane mieszanki rozlewamy do wygotowanych lub sparzonych gorącą wodą buteleczek, które następnie starannie korkujemy (ideałem jest zamknięcie hermetyczne). Dalej myślimy o tem, aby je przechować w możliwie najniższej temperaturze.

Sposobów przechowywania mieszanek czy mleka jest kilka.

Najidealniejszem jest przechowywanie mieszanek w lodówkach. Jednakże niewiele domów może sobie na nie pozwolić ze względu na koszt lodówki i dość duże ilości lodu.

Następnym sposobem byłoby wstawienie butelek z mieszankami do naczynia, przez które mogłaby przepływać bieżąca woda. Znów to jest możliwe tylko tam, gdzie są wodociągi i kanalizacja.

Innym sposobem może być wstawienie butelek do zimnej wody i postawienie w chłodnem miejscu, przyczem woda powinna być wielokrotnie zmieniana lub też może zawierać dodatek lodu. Równie dobrym sposobem jest zastosowanie zwykłej doniczki. Sposób ten był omawiany w zeszłym roku w artykule D. Gromskiego, a polega on na tem, że do miednicy z zimną wodą wstawiamy butelkę, którą przykrywamy zwyczajną glinianą doniczką. Pod doniczką wówczas utrzymuje się temperatura zawsze niższa niż nazewnątrz.

Dobrze jest też, zwłaszcza na wsi, przechowywać mieszanki w piwnicach, gdzie latem w dobrze zaopatrzonej piwnicy mamy chłód.

Jeszcze jednem chłodnem miejscem do przechowywania mieszanek są piece.

Muszę tutaj nadmienić, że przechowywanie mieszanek nie ogranicza się tylko do utrzymywania tychże w możliwie najniższej temperaturze, ale też do ochronienia ich przed kurzem, muchami, które jak wiemy są wielkimi rozsadnikami chorób zakaźnych, zwłaszcza przewodu pokarmowego. — Dlatego też miejsce jak też i naczynia, w których stoją mieszanki, powinny być możliwie czyste.

Jeszcze jednym sposobem przechowywania mieszanek może być termos. Ścianki termosu, jak wiemy, dzięki temu, że pomiędzy dwoma blaszkami szkła znajduje się próżnia, są złym przewodnikiem ciepła, a więc płyny przechowywane wewnątrz nie tracą swego ciepła, ani

też, o ile to są płyny schłodzone, nie nagrzewają się. Dlatego mieszanka, przed wlaniem do termosu musi być należycie ochłodzona. Dobre są też termosy szerokie i duże, do których można wstawić mieszankę z butelką, co w znacznej mierze ułatwiałoby utrzymanie termosu w czystości. Gdyż należy pamiętać, że termos przed wlaniem mieszanki musi być bardzo starannie wymyty, wyparzony gorącą wodą, a korek codziennie wygotowany.

Termos pozatem może służyć do przechowywania ciepłych mieszanek przy wyjazdach na spacery, lub dłuższych przejazdach koleją.

Na tych kilku sposobach starałam się wyczerpać możliwie najprostsze sposoby przechowywania pożywienia dla naszych najmniejszych.

D. Z. Glińska.

Do jakiego wieku dzieci powinny wyjeżdżać w wózku?

Zdawałoby się, że w kilku słowach ujmiemy odpowiedź: gdy dziecko dobrze chodzi, nie powinno już ono z wózka korzystać.

Przypadłoby to zatem na wiek od 1 — 1½ roku.

Częstokroć niejedna z nas wzdycha do błogosławionej chwili, kiedy można będzie wózka się pozbyć, wszak połączony on jest z tylu niewygodami. Dwukrotne, czasem nawet częstsze, ekspedjowanie wózka w ciągu dnia z 3 — 4 — 5-go piętra bez windy, niemożność pozostawienia go w podwórzu lub sieni, są już wystarczającym powodem do wyczekiwania „samodzielności" naszych bobasków. A ileż to razy przy przyjmowaniu na posadę niani lub bony ugoda upada właśnie z powodu wózka: „wszystko mi odpowiada, nie mogę jednak się zgodzić na prowadzenie wózka po ulicach". Wreszcie i milusińscy zaczynają oponować: „beź wózka, pieszo".

Niezliczona jednak ilość okoliczności składa się na to, że musimy dzieci 2 — 2½, nawet 3-letnie wywozić w wózku.

„Czy ci nie wsyd, Jasiu, w wózku siedzieć? weź przykład z mojej Krysi; znacznie jest młodsza od ciebie, a spaceruje jak stara". Jaś nie powinien się wstydzić. Mieszka bowiem na ulicy Jerozolimskiej; z najbliższego ogrodu Pomologicznego korzystać może tylko latem, i to za opłatą, aczkolwiek jednorazowo małą, miesięcznie jednak wynoszącą kilka do kilkunastu złotych. Jaś więc, jak i wielu innych jego rówieśników, mieszkających daleko od ogrodów, parków, dreptać musi nieraz ponad 30 minut poprzez ulice zaludnione; jedna z rączek, nieomal jak smycz, uwięziona w ręce opie-

kunki; nóżki w przyśpieszonem tempie, a u kresu wędrówki malec jest już tak bardzo zmęczony, że odpada go nawet chęć do zabawy, a cóż dopiero do spożycia zapasów z ręcznego koszyczka.

Mały wózek spacerowy umożliwia dzieciom, zamieszkującym dzielnice oddalone, w krótkim czasie i bez zmęczenia dobrnąć do ogródków, parków; pozwala im dłużej korzystać ze świeżego powietrza i nieocenionego towarzystwa rówieśników. Szereg innych dzieci, choć blizko ogrodów mieszkających, długo jeszcze korzysta z wózków, zwłaszcza latem.

Są to dzieci, które w ciągu dnia czy to przed, czy też po obiedzie sypiają, przyczem znacznie lepiej na powietrzu, niż w domu. Wreszcie do przedłużonego korzystania z wózka zmusza nas częstokroć temperament dziecka. Ileż to dzieci przez dzień cały jest w ciągłym ruchu; nawet „Jaś i Małgosia' lub „Czerwony kapturek" dłużą im się i jeszcze przed zakończeniem bajeczki, zrywają się z krzesła, dla którejś z zabawek, z powodu jakiegokolwiek dźwięku, telefonu i tysiąca innych przyczyn. Mamusia ucieka się wówczas do wózka, twierdząc, że spacer z domu do ogrodu i z powrotem stanowią jedyny odpoczynek w ciągu dnia dla jej synka lub córeczki.

Wspomnę jeszcze małych rekonwalescentów, których mimo „sędziwego" 2 — 3 nawet 4-letniego wieku wywozimy jeszcze w wózku, ażeby dopiero w ogrodzie pozwolić mu nieco pobiegać.



Mały Kostek lubi, gdy go mama wozi w wózku

Możność spacerowania „pieszo" przypada wielu dzieciom na późną, słotną jesień lub zimę — i tu znowu pora roku przeszkadza naszym milusińskim zupełnemu pozbyciu się wózka. Podarowanie więc wózka przyjaciółce, udzielenie mu wiecznego spoczynku na antresoli, górze lub w piwnicy w związku z różnemi przyczynami, przypada na późny wiek dziecka.

A gdyby tak zwrócić się do właścicieli domów z prośbą o udzielenie garażu dla wózków dziecięcych. — trochę dobrej woli zaoszczędziłoby matkom wielu kłopotów.

Dr. T. Lewenfiszowa.

Dziadzio i wnuczka

Przemówienie w Radjo w dniu 29 VI 1930 w „Tygodniu Dziecka".

I.

Szósta rano. Pół-sen, pół-czuwanie. Fala znużenia dnia wczorajszego **przelewa się** jeszcze po kościach i mięśniach, **płynie** szlakami podświadomemi i świadomemi, **zalewa ciężkim** ołowiem mózg. Na spotkanie jej płynie **druga** fala zmęczenia, zmęczenia **budzącego** się dnia, szereg myśli o zadaniach **na dzień dzisiejszy,** fala obawy, czy to wszystko, co się w tym dniu dzisiejszym uczynić ma, uczynione będzie.

Pół-sen, pół-czuwanie. Ciężki koszmar obowiązków z dnia **wczorajszego** i dnia **dzisiejszego.**

I raptem gdzieś z mansardy, z drugiego piętra **wyrwał** się cienki radosny głosik, **przeleciał** przez wpółotwarte drzwi, **zbiegł** po wewnętrznych schodkach domku i dźwięczny radością życia **wpadł** do sypialni dziadka — „Majisia".

Pół-sen, pół-czuwanie. Ale **już** usuwają się chmury z czoła. Już uśmiechają się oczy zmęczone pod nawpół przymkniętemi powiekami. Już wygładzają się bruzdy trosk na czole. Już chmurki uciekają daleko, daleko. Już promienie wewnętrznego słońca rozjaśniają twarz Dziadka.

A tam na górze **istny** karabin maszynowy „Majisia", „Majisia", „Majisia" powtarzane na wszelkie sposoby z niezliczoną ilością modulacyj i intonacyj. Wraz z niezmiennym dodatkiem: „nie cię", „nie cię", „nie cię".

Całe zdrowe poczucie swego „ja", cała poranna energja i inicjatywa młodego zbudzonego życia znajdują ujście w tych dwóch słowach.

I widać, że tej inicjatywy i tej energji jest dużo, bo oto rozpoczyna się szalony ruch na mansardzie **„Marysiu,** rozlejesz wodę", **„Marysiu,** zostaw, to szczotka do podłogi, nie do włosów", **„Marysiu,** nie ciągnij sedwety, bo ściągniesz kałamarz", **„Marysiu,** oddaj nożyczki". „Skaranie boskie z tą dziewczyną".

Dziaduś już siedzi na łóżku i pokłada się ze śmiechu. — „Zuch Maryśka. Moja krew. Wywracaj dom do góry nogami. Widzicie ją, pełna inicjatywy, to po dziadku, Marysiu, nie daj się".

Inicjatywa Marysi zostaje widocznie ujęta w łożysko celowości i logiki, bo oto słychać głos matki: — „i kotek się myje i piesek się myje". — „I Majisia się myje", podpowiada cienki głosik dziecięcy. A potem: „i piesek się czesze i kotek się czesze", no i oczywiście „i Majisia się czesze".

Jeszcze chwil parę, poczem słychać stąpanie drobnych stopek po

schodach i w drzwiach sypialni Dziadka staje w świeżej sukience uśmiechnięta Marysia. Lewa strona głowy uczesana wedle wszelkich wymogów elegancji i mody, zato prawa, pożal się Boże, już rozwichrzona, jak kopa siana. Żałośnie zmiętoszona błękitna kokarda tkwi mocno zaciśnięta w prawej piąstce.

„Marysieńko, chodź do mnie“, woła Dziaduś, „podaj rączkę“. „Nie cię“, odpowiada Marysia i już niesie buty Dziadziusiowi, przysuwa krzesło z ubraniem, mocuje się z olbrzymią szufladę, w której tyle ciekawych rzeczy: — białe sztywne kołnierzyki i mankiety, błyszczące spinki, barwne krawaty...

„Maryś, zaprowadź Dziadzia na śniadanie“. Tym razem Marysia nie mówi „nie cię“, wyciąga dłoń. Bo przecież, to nie Dziaduś poprowadzi Marysię, lecz Marysia Dziadusia. Marysia to potrafi.

Za chwilę Dziaduś i Marysia siedzą przy stole. Właściwie, siedzi Dziaduś, a Marysia na jego kolanach. Ale, ktoby się wdawał w te drobiazgi. Chlebek z masłem taki smaczny, herbatka z cukrem taka słodka, a życie takie piękne.

Przez uchylone drzwi od werandy zalatuje świeży majowy poranny powiew ogródka. Więc jazda z Marysią do ogrodu. Ogród ma coprawda, aż całe 110 metrów kwadratowych powierzchni, ale to mniejsza. Tyle w nim tulipanów i bratków, a oto łubin wystrzelił różowemi dzwonkami, a oto peonja kołysze czubatemi główkami swych bujnych kwiatów, a oto różyczki wabią nierozkwitniętemi pączkami, co tak pięknie napęczniały nocy ubiegłej. Marysia ogląda niby wszystko poważnie z Dziadusiem.

Ale oto w małej głowince zaświtała myśl nowa. Marysia ciągnie Dziadusia za rękę. „Outo, Outo“, woła. To znaczy, że Marysia chce odprowadzić Dziadusia do taksówki.

Idziemy. „I Dziadzio, i Mamusia, i Majisia i peś“ siadamy do taksówki. Kto więcej uradowany, czy Dziaduś, czy peś, czy Majisia, czy Mamusia, to trudno powiedzieć. Bo nawet pan szofer obraca się raz po raz i uśmiecha się do Marysi, a peś wspina się, wysuwa głowę przez przednie okienko i liże pana szofera za uchem. Bo peś też należy do rodziny i namiętnie lubi jeździć taksówką. Przy najbliższym rogu „outo“ się zatrzymuje. Wszyscy wysiadają „i Majisia, i Mamusia, i peś“. Tylko dziaduś jedzie do pracy, ale jedzie już uśmiechnięty przez całą drogę, wesoły i raźny. Bo to Marysia wypłoszyła swym dźwięcznym głosikiem wszelkie troski z czoła Dziadusia, opromieniła jego duszę swym kochanym uśmiechem.

II.

Upłynęła połowa dnia pracy. Już czas wracać na obiad. Ale przedtem trzeba odrobić jeszcze jedną wizytę u chorego dziecka. Dziadzio jedzie do ubogiej zaludnionej dzielnicy, wchodzi wysoko po brudnych,

obdrapanych schodach do ciasnego, ciemnego mieszkania, podchodzi do łóżka, na którym leży blade, woskowe, wyniszczone dziecko. Rzuca okiem i kiwa głową—znowu gruźlica, bada... Tak gruźlica. Tłumaczy więc rodzicom, że trzeba wywieźć dziecko na wieś, do lasu, na piasek i otrzymuje odpowiedź, że rodziców nie stać na to, że oto trzeci rok już, jak dziecko pozostaje latem w mieście. Dziaduś perswaduje, zapisuje rady i wskazówki, oraz lekarstwo i przygnębiony opuszcza mieszkanie.

Na schodach przystaje i ogląda przez okno, ot tak, z przyzwyczajenia, podwórko — Wąskie ciemne, jak grób. Między kociemi łbami bruku czarny sosik nigdy nie wysychającego błotka. Na podwórzu dwie biednie odziane, blade dziewczynki stoją na przeciw siebie i bawią się w piłką. Czasem piłka opada w czarny sosik błota, wtedy dziewczynki obcierają piłkę o podołek sukienki i bawią się dalej. Przechodzi jakiś starszy wynędzniały człowiek, z wyglądu gruźlik, kaszle i spluwa w błotko...

W tej chwili Dziadzio przypomina, że teraz Marysia siedzi w swoim ogródku. Dlaczego dziewczynki nie idą też do ogrodu, myśli Dziadzio i raptem uświadamia sobie, że ta dzielnica, jak wiele innych, nie ma wcale ogrodu, że wogóle ogrodów mało w mieście, że zdaniem ojców miasta, ogrody to luksus, że ogrody znikają jeden po drugim, a na ich miejsce stają wielopiętrowe szare kamienice czynszowe o takich ciemnych, wąskich podwórkach. I znów troski osiadają na czole Dziadusia, gdy wraca do domu. Jakaś myśl, myśl od której się uwolnić nie może idzie wciąż za nim. A gdy wieczór nadchodzi, po skończonej pracy dnia. Dziaduś siada do biurka i pisze, pisze, pisze i o ogródkach i o wielu innych rzeczach, których potrzeba dzieciom, nie tylko Marysi, ale wogóle wszystkim dzieciom, biednym i zamożnym, nieznanym i znanym i woła, woła, aż do zmęczenia, co i jak należy czynić, ażeby dzieciom było lepiej w tej Polsce.

Miecz. Michałowicz.

Struktura bajki dla najmłodszych dzieci.

Omówienie programu radjowego

Na wstępie muszę ustalić znaczenie słowa „bajka“, które w języku polskim ma kilka znaczeń. Odrzucić tego słowa niepodobna, ponieważ należy do zwrotów bardziej utartych mowy potocznej. Dla tego też zgóry chcę zaznaczyć, że mówiąc o bajce dla dzieci, będziemy mieli na myśli zawsze powiastkę.

Powiastki bowiem są tylko odpowiednią strawą duchową dla młodszych z dzieci: krótka, mało skompli-

kowana opowieść o życiu innych dzieci i ich rodziców, o życiu ptaków i zwierząt; opowieść, co się z czego robi — oto właściwe tematy dla „bajek“.

Pojęć oderwanych nie będzie jeszcze dziecko mogło zrozumieć. Może się zdarzyć, że czarodziejska baśń opowiedziana małemu dziecku, mająca rzekomo (zbyt wcześnie) budzić jego fantazję, może wywołać chaos i pomieszanie wrażeń z świata realnego i wymyślonego w umyśle dziecięcym. Grozi wielkiem niebezpieczeństwem przeniesienia przez dziecko elementów ze świata fantazji do życia codziennego. Gdy dowie się np. dziecko o „istnieniu złej macochy“, lub „djabłów“ i „wróżek“, zacznie następnie doszukiwać się tych postaci w obrębie swojej własnej rodziny. Niespełnienie następnie jakiej prośby przez matkę, może wywołać ze srony dziecka myśl, że matka umarła, a rozkazuje macocha (wedł. np. „Kopciuszka“ — o czem już poprzednio pisaliśmy).

Dziecko musi przedewszystkiem poznać — życie prawdziwe.

Musi poczynić odpowiednie doświadczenia praktyczne. Poznać ludzi i stosunki, zachodzące pomiędzy nimi. Musi poznać rzeczy i ich użyteczność. Z początku trudno ustosunkować się dziecku do świata realnego. A cóż dopiero do świata z fantazji!

Dlatego raz jeszcze podkreślić należy, że dziecku trzeba opowiadać krótkie, najkrótsze opowiadanka.

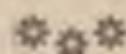
Krótkość lub długość będzie zależała od wieku. Dla czteroletniego dziecka za długa będzie bajka, trwająca 10 minut. Pod żadnym pozorem nie powinna trwać dłużej.

Bajkę należy w ten sposób konstruować, aby była żywo pisana i w zakończeniu dawała krótką syntezę.

Dla przykładu podam schemat jednej jakiejś bajeczki:

„Dzieci bawiły się w swoim pokoju. W sąsiednim przewróciła się etażerka. Rozsypały się książki i drobnostki, leżące na niej. Matka zawołała dzieci i poleciła im zbierać rozsypane rzeczy. Dzieci wzięły się żwawo do roboty i dzielnie dopomogły matce. Po dokonaniu roboty zgłodniałym dzieciom dała matka po kawałku chleba z masłem. Dzieci spożyły chleb z wielkim apetytem.

Po pracy chleb lepiej smakuje i t. d.“



Ponieważ bajka należy do repertuaru programu radjowego dla dzieci, wypadnie więc zkolei zastanowić się nad nim.

Otóż tu odrazu można z wielkiem zadowoleniem stwierdzić, że repertuar Polskiego Radja dla dzieci (pod kierownictwem p. Wandy Tatarkiewiczówny), stoi na wysokości zadania. Podczas, gdy niektóre zagraniczne stacje nadają jeszcze tylko bajki w rodzaju „Czerwonego Kapturka“, to Polskie Radjo zerwało z tym utartym szablonem w zupełności. Polskie Radjo nadaje powiastki i historyjki, o treści zaczerpniętej z życia realnego: z dziejów ludzi i zwierząt. Bardzo odpowiednią dla dzieci była za-

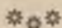
równo bajeczka „O piesku Morusie“ Romany Tolińskiej (opowiedzianej w listopadzie), jak i „Antku Zawalidrodze“ H. Hohelingerówny (opowiedzianej w marcu) i t. d.

Do specjalnego typu — należą co pewien czas przeprowadzane pogadanki przyrodnicze w rodzaju: „Radjo cioci Misowej“ opowiedzianej przez Helenę Terlińską, lub „Co robią ptaszki, żeby im było ciepło“ — Henryka Malkowskiego.

Z przeprowadzonych słuchowisk zasługuje na wyróżnienie „O Bumcyku Świerszczyku i Błękitnej Trajkotce“ Lucyny Krzemienieckiej. Słuchowisko to odznaczało się łatwym, zrozumiałym dla dzieci tekstem oraz melodyjną ilustracją muzyczną.

Słuchowiska ludowe, jakie Polskie Radjo przeprowadziło (np. inscenizacja oryginalna ludowa p. Jędrzeja Cierniaka) nie należy do szczęśliwych prób, dlatego, że ludowe narzecze niezbyt jest zrozumiałe dla młodziutkich słuchaczy, którym raczej zależy na wyraźnej wymowie, niż na odpowiedniem zabarwieniu charakterystycznem.

Bardzo przystępne i ciekawe są „Przygody dzieci miasta“ Ewy Szelburg - Zarębiny, opowiadane urywkami w ciągu zimy. Zachodzi tylko ta wątpliwość, czy dzieci mogą zapamiętać całość tak bardzo skomplikowaną dla nich i słyszaną w dużych odstępach czasu.



Do bardzo miłych zwyczajów należy zwyczaj utrzymywania kontaktu kierowniczki działu dziecięcego Radja z swoimi słuchaczami pod postacią skrzyneczki pocztowej. „Skrzynka pocztowa“ zachęca dzieci do pisania liścików, na które co miesiąc odpowiada. Korzystają z tego co prawda przeważnie tylko dzieci starsze.

„Skrzyneczka“, inaczej zwana „mamusią radjową“ stała się jakby powiernicą, która nie szczędzi dzieciom nigdy serdecznych słów pociechy lub zachęty.

Nie wszystko jednak z repertuaru dla dzieci jest bez zarzutu. Bajki z t. zw. głębszą treścią, jak np. J. Krzewińskiego, nie były szczęśliwie dobrane.

Do rzeczy, które należy bezwzględnie unikać, wypadnie zaliczyć nadawanie płyt gramofonowych z bajkami przez radjo. A to z dwóch względów: przedewszystkiem z tego powodu, że płyty zbyt niewyraźnie i prędko odtwarzają dźwięki. Dla tego dzieciom, które wolniej myślą, niż dorośli, nie uda się dźwięków tych powiązać w logiczną i zrozumiałą całość. A gdyby się im udało nawet zrozumieć słowa, to wówczas wystąpiła by nowa trudność — ich treść. Pominąwszy bowiem nadawanie różnego rodzaju „Czerwonych Kapturków“ (z Ninką Wilińską) odwiednich dla starszych dzieci—dziesięcio - dwunastoletnich, należy się dziwić, dlaczego nadaje się dla dzieci takie historje, jak np. „O bałamutce“ (z Marją Malicką), rzeczy zupełnie nie dla dzieci.

Sądzimy, że podobne przeoczenia nie powtórzą się więcej.

Stefanja Lewartowicz.

Na wsi, w polu i w lesie

z cyklu „Dziecko, a przyroda“

Już zaczynają potrochu, i coraz częściej, przeciągać Warszawą chłopskie fury z rzeczami letników.

Wyjeżdżamy z dzieckiem na wieś.

Te parę miesięcy pobytu na powietrzu i słońcu mają dać zdrowie i siły na zimę spędzoną w niezbyt higienicznych warunkach życia w mieście.

Nie wiem, czy zamieszkamy na podmiejskiem letnisku, gdzieś na piaszczystem miejscu w lesie, czy też na prawdziwej wsi pośród żyta i kartofli, czy nad rzeką, czy nad morzem, czy może najpiękniej, bo w górach. Ale wszędzie żyć będziemy bliżej natury. Trzeba, żeby dziecko nasze, o ile można, żyło najbliżej tego wszystkiego co je otacza przez ten szczęśliwy i swobodny „wiejski“ okres czasu.

Będziemy napewno dużo chodzić na spacery; dziecko, o ile już może samo biegać będzie odkrywać bezustanku tysiąc ważnych spraw z życia przyrody, o które zechce nas zapytać.

Prawda, że może i my chcemy odpocząć, posiedzieć cicho pośród falującego wonnego żyta i nic nie mówić.

Ale to pewno nie uda się; to takie ciekawe dla naszego Jasia co to rośnie i kłania się po obu stronach drogi. Nie zostawmy naszego „miejskiego“ dziecka w zupełnej nieświadomości tych podstawowych spraw wiejskiego istnienia. Łatwo nauczymy je odróżnić żyto, które wykłosiło się i faluje wysokie, od zielonej runi owsa i jęczmienia. Opowiemy mu trochę o życie; kiedy je siejemy, jak zimuje pod śniegiem, jak szybko rośnie wiosną i pokażemy potem, jak zakwitnie.

Dziecko będzie chętnie odwiedzać pole i przyglądać się wzrostowi i twardzeniu ziarna w kłosie; będzie patrzeć jak pożółknie słoma i rolnik rozpocznie żniwa.

Być może, że na drugi rok, gdy wrócimy na wieś, rozpozna dziecko zdaleka łan żyta i nie przyjdzie mu już do głowy deptać je i łamać bezmyślnie, jak to robiło dawniej, szukając bławatków.

Ziemniaki wypuszczają już z ziemi zielone kiełki i liście; opowiemy dziecku, jak wyrasta kiełek z bulwy ziemniaczanej; nie z nasienia, jak żyto, jak potem wyrasta duży krzak, a na korzeniach tworzą się małe bulwki, młode kartofelki. Jeśli będzie można, pokażemy dziecku, jak podbiera się ziemniaki, a może samo wygrzebie patyczkiem zupełnie młody różowy kartofelek.

A tyle jeszcze ciekawych rzeczy rośnie w polu: owies, gryka, proso, pszenica i len siany na prawdziwej wsi, daleko od Warszawy...

O lnie są piękne powiastki; wydobądźmy je z pamięci i zapoznaj-

my dziecko z tą rośliną o pięknych, niebieskich kwiatkach; nie doczekamy już chwili, gdy poczną len międlić, ale i tak dużo będzie mogło dziecko zobaczyć.

W polu jest rzeczy ciekawych bez końca, coraz nowych w miarę wzrastającej inteligencji dziecka.

A w lesie? wiele z nas na podmiejskich letniskach, jak np. Anin, cały dzień będzie spędzało z dzieckiem pośród sosen, a i dzieci z prawdziwej wsi będą chodzić i jeździć na wyprawy do lasu.

Jeśli siądziemy pośród mchu, pokażemy dziecku, jak „kwitnie" on, jak chwieją się czerwone puszki zarodników na cienkich łodyżkach; na suchych miejscach, na piasku rosną kruche chrupiące porosty, rosną też, jak długie niebieskawe brody, na drzewach. Pokażmy dziecku, że i to wszystko są rośliny, które żyją w lesie, i rosną nawet na kamieniach.

Pokażemy dziecku jemiołę na sośnie, jemiołę, która zapuszcza w drzewo korzenie i wysysa nieproszona soki.

Jeśli trafimy na przestrzeń świeżo zalesioną pokażemy dziecku, jak wyglądają malutkie zabawne sosenki i objaśnimy, jak należy uważać, aby ich nie zdeptać, bo muszą wyrosnąć na wielki las prostych, wysokich drzew, takich, jakich używa się na maszty dla naszych statków.

W lesie jest dużo przyjemności: można zbierać poziomki, jagody, a potem grzyby, ale można przyjemnościom tym dodać w paru słowach głębi i wartości i nauczyć dziecko, że nie wystarczy korzystać bezmyślnie z darów natury, ale rozumieć ją i pokochać trzeba koniecznie.

A życie zwierząt leśnych; jeszcze bardziej zajmie ono dzieci, ale opowiemy im to innym razem.

J. Brzózko-Guderska.

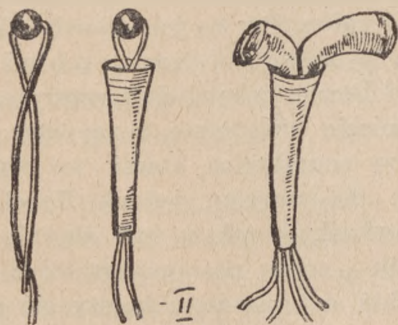
Jak zużytkować muszelki?

Kiedy fale morskie odpłyną — a na brzegu pozostaną — lekko sfalowany piasek i niezliczona ilość muszelek — dzieci biegną je zbierać. Garstkami sypią w wiaderka ten morski plon — a taki rozmaity! Jedne muszelki płaściutkie a długie, inne okrągłe, rąbkowane, wklęsłe jak miseczki; — to znów delikatne, okrąglutkie a tak przezroczyste, jak płatki kwiatowe — inne znów jak rożki i tak bez końca, nie naliczyłby się ich człowiek. Zbiera je dziatwa — lecz co z nimi zrobi? Pewno pobawi się i rozsypie, lub zaniesie do domu, a za parę dni, przy sprzątaniu, starsi to wyrzucą. Za poradą jednak Babci Zabawkoskiej, tak z tem źle nie będzie — ona nas pouczy co z tem robić, a tymczasem należy się zbierać muszelki, zbierać dużo i sta-

rannie, gdyż będą nietylko nam potrzebne ale i innym, którzy je dostaną, jako piękny podarek z nad morza — ładnie uporządkowane i zaszyte w przezroczysty merlowy woreczek — tak bowiem idą one w handlu zagranicznym. My zaś miejmy własne.

Zbierać je należy w woreczek, w który z wiaderek dzieci zsypują zmięszane razem muszelki. W domu te muszelki zsypujemy w większe pudelko, lub gatunkujemy odrazu w małe pudełeczka od papierosów. Dobra to robota na chwile odpoczynku lub niepogody. Co nie zdążymy uporządkować, to należy zsypać w oddzielny worek. Z takim zapasem, gdy wrócimy do domu, a jesień nastanie — weźmiemy się do roboty.

A cóż z nich zrobimy? — Najpierw kwiatki. — A jak je zrobimy? Różnie. Mogą być różyczki, kwiatki jabłoni z płaskich muszelek — złocienie, astry i inne z rurkowatych; słowem trzeba tylko pomysłu a będzie uciecha. Biorąc się do roboty, należy najpierw świderkiem cieniutkim porobić otworki w nasadach muszelek, jak to wskazuje rysunek I



a) Jak się osadza rurkowate muszelki.

i przewlec przez nie druciki, cienko skręcając je w gałązkę. Mamy gotowy płatek. Rurkowatym ścinamy kończyki II i przewlekamy, lub owijamy główkę na druciku, wpychamy ją, biorąc na klej, w środek muszelki — jak np. na astry.

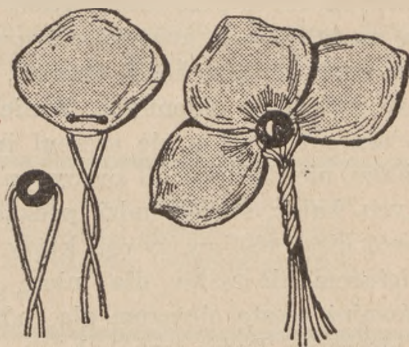
Rysunki dają trochę pojęcia jak z tem postępować. Gdy są już muszelki osadzone, możemy je wedle chęci i potrzeby zabarwić farbą anilinową, rozpuszczoną w spirytusie — będą piękne, lekko cieniowane, lecz matowe. Możemy użyć lakierów kolorowych, będą wtedy lśniące — możemy je do potrzeb choinki złocić. Gałązki robimy z drutu, okręcając go bibułką lub przetłuszczoną miękką rafją. Możemy też robić i z żywych gałązek lipy lub brzozy, zostawiając je w kolorze naturalnym lub barwiąc na zielono. Gdy płatki są gotowe, łączymy je w kwiatki. Na drucik (rys. III) nasadzamy paciorek — groszek — pręciki takie jak do kwiatków sztucznych—albo okręcamy główkę na druciku z waty, maczamy ją w stearynie i mamy środeczek, który tylko zabarwić należy. Do tego drucika z główką umocowujemy płatki jak to widać na rysunku III. — Potem kwiatki łączymy razem w grona, jak np. hortensję—lub w kielichy—albo układamy płasko, jak bratki i jabłonie i t. d. Listki robimy z dużych płaskich muszelek, lub bierzemy sztuczne, a mogą być też i żywe zasuszane a potem kolorowane — jak to kiedyindziej opowiem. Na czareczki czyli nasady do różyczek mogą służyć czarki żołędzi złocone lub malowane.



c) Jak się robi otworki w płaskich muszelkach i przewleka drucik na gałązkę.

Takie bukieciki kwiatków są wprawdzie siedliskiem pyłu, ale otrzepane miękką miotełką z piórek, zimę przetrwają, a lato nowe przyniesie. Są one dosyć modne we Francji, jako ozdoba pokoju, a nawet nimi zdobią abażury i t. p. My zaś użyjmy je tylko jako przemijającą pracę rąk dziecinnych, ze względu, iż uczą zręczności—dają zastosowanie przy zużytkowaniu amatorstwa zbierania muszelek — oszczędzą nam wydatku w kupowaniu materjałów do robót, a przez czas jakiś będą ozdobą pokoiku lub choinki, o czem w jesieni pogwarzymy.

J. Komorowska.



b) Jak się nasadza i łączy w kwiatek płaskie muszelki.

Miłe Czytelniczki, czytając te rady, zadziwią się o jakiej Babci Zabawkoskiej wspominam w mej gawędce. Otóż poznaliśmy taką Babcię, co lubi robótki i zabawki, a że jest dość uczynna, więc obiecała nam swą pomoc, z której my chętnie korzystamy, wiedząc, iż nasze Mamusie, przy wielu troskach o dziatwę, muszą myśleć i o ich zabawkach. Dlatego otwieramy przy naszem piśmie „Młoda Matka“ dział „Poradnia Babci Zabawkoskiej“, do którego każda Mamusia zwracać się może z zapytaniem: jak naprawić zabawkę — jak zrobić jakąś farbę, klej i t. d. Może prosić o podanie jakiegoś modelu, słowem może mieć wszelkie informacje z dziedziny zabawkarstwa, które podawać będzie im Babcia. Adres poradni: Górnośląska 20. Tel. 401-24 w Warszawie. Poradnia ta zaznajomi nas bliżej z dziatwą i ich zabawami, a przez nie trafimy głębiej do troskliwych serc matczynych.



ODEZWA

Według obliczeń, podanych w referacie D-ra Szymona Starkiewicza na XII zjeździe lekarzy i przyrodników, mamy w Polsce w chwili obecnej kilka tysięcy dzieci przewlekle chorych, kwalifikujących się do leczenia w specjalnych zakładach leczniczych. Są to przeważnie dzieci chore na tak zwaną gruźlicę chirurgiczną, czyli gruźlicę kości, stawów, skóry, gruczołów chłonnych. Z nich to właśnie rekrutują się szeregi inwalidów, niezdolnych do pracy, ułomnych, kalek, szereg ludzi, pędzących swój nieszczęśliwy żywot, który jest ciężarem nie tylko dla nich, lecz również często ciężarem dla rodziny i otoczenia. Dając tym ludziom możność wyleczenia się, zmniejszamy ciężar, który musi ponosić społeczeństwo w postaci wydatków na utrzymywanie i opiekę nad tymi inwalidami.

Społeczeństwo winno zrozumieć, że budując zakłady lecznicze, unika budowania przytułków dla kalek, winno zrozumieć, że jest to sprawa nie tylko sentymentu, lecz również i zwykłego wyrachowania. Zaś cierpienia te, chociaż dają się leczyć, wymagają jednak długiej kuracji oraz pobytu w większości przypadków w specjalnych zakładach leczniczych. Po wyjściu zaś z zakładu jest często potrzebna dalsza opieka lekarska, dalsze zajęcie się losem chorego. W szeregu przypadków należy często chorego nauczyć innego fachu, dać mu możność zarobkowania.

W Polsce w chwili obecnej mamy parę zaledwie zakładów, w których jest leczona gruźlica chirurgiczna. Ilość łóżek dla tego rodzaju chorych jest naogół w Polsce karykaturalnie mała. Szereg dzieci ze względu na brak środków przebywa w zakładach często zaledwie parę miesięcy podczas, gdy dla całkowitego powrotu do zdrowia byłaby potrzebna 1½ — 2 letnia kuracja. Oprócz tego niektóre dzieci trafiają do zakładu z tak daleko posuniętemi zmianami chorobowemi, że o całkowitym powrocie do zdrowia nie może być mowy. Choroba ustępuje, lecz pozostają duże zniekształcenia kośćca, przykurcze kończyn, utrudnione ruchy w stawach i t. d. Właśnie ci chorzy wymagają dłuższej opieki lekarza-specjalisty, wymagają często nauczenia ich odpowiedniego fachu, który mogliby przy swem kalectwie uprawiać, aby nie być ciężarem społeczeństwu.

W „Młodej Matce“ już parokrotnie ukazywały się artykuły o czynie D-ra Szymona Starkiewicza, który potężnym wysiłkiem dźwignął ogromne sanatorjum w Busku, pospolicie nazywane „Górką“. W chwili obecnej leczy się stale w zakładzie około 200 dzieci, oprócz tego około tysiąca przechodzi przez kolonję leczniczą, organizowaną rok-rocznie przy zakładzie w miesiącach letnich.

W ubiegłym roku powstało w Warszawie „Towarzystwo Przyjaciół kolonji leczniczej im. prof. Brudziń-

skiego w Busku". Towarzystwo powyższe ma na celu opiekowanie się dziećmi, które były leczone w zakładzie w Busku. Zachodzi nagła potrzeba udzielenia pomocy szeregowi dzieci, które, nie mają żadnej opieki lekarskiej, w ogromnej większości przypadków na skutek braku środków lub niezrozumienia rodziców brną dalej ku kalectwu. Im to z pomocą ma zamiar przyjść Towarzystwo Przyjaciół „Górki".

W chwili obecnej, gdy nadchodzą miesiące letnie, gdy wszyscy rodzice zaczynają troszczyć się o wyjazd dzieci z murów miejskich, zwracamy się z apelem do rodziców o zapisywanie się na członków T-wa. Pamiętajmy również i o cudzych dzieciach, o tych dzieciach, którym kalectwo wraz z nędzą w oczy zaglądają. Opłata wynosi dla członka rzeczywistego 20 zł. rocznie, dla członka popierającego 12 zł. Konto P. K. O. Nr. 21330, „Towarzystwo Przyjaciół Kolonji Leczniczej im. rektora D-ra J. Brudzińskiego w Busku" — Warszawa, Leszno 11.

Redakcja tyg. „Kobieta Współczesna" i Dom Towarowy B-cia Jabłkowscy ogłaszają konkurs amatorski na roboty kobiece—do wzięcia udziału w tym ciekawym konkursie zapraszamy również wszystkie prenumeratorki dwutyg. „Młoda Matka".

Odpowiedzi na listy rodziców

1. Pani Ludwice Szymańskiej. W sprawie kataru i kaszlu Pani 2-miesięcznego synka nie możemy udzielić porady na odległość. nie widząc dziecka.

Co do Pani starszego synka, to z opisu sądzimy, że ma on krzywicę. W tym przypadku też możemy dać jedynie wskazówki higjeniczno - djetetyczne. A mianowicie ponieważ mały ma 1 r. 3 m. powinien tak jak dziecko, po ukończeniu roku, jadać 4 × na dobę, przyczem ilość mleka nie może przekraczać ½ litra na dobę. Musi mały dostawać codziennie jarzyny (marchew, szpinak, kalafior, kalarepa) i surowe soki lub owoce.

I) śniadanie: kakao owsiane lub kawa zbożowa z sucharkami lub bułka z masłem o ile dziecko gryzie.

II) obiad: wszelkie zupy jarzynowe i owocowe, zaprawione mąką lub zasypane kaszką, aby były dość gęste oraz jarzyny.

III) podwieczorek: ½ tego, co na śniadanie i owoce.

IV) kolacja: kaszka manna na mleku.

Pozatem trzeba, aby dziecko jak największą ilość godzin spędzało na powietrzu.

Co do środków leczniczych, to może zadecydować jedynie lekarz, który dziecko widział.

2. Pani Wandzie Nowakowej. Odpowiedź wysłaliśmy pocztą.

3. Pani Kusocińskiej. To samo.

4. Pani Janinie Lawandowskiej. Stoimy na stanowisku, że ospę nawet dziewczynkom powinno się szczepić na ramieniu. Technika szczepienia w tej chwili stoi tak wysoko, że, doprawdy, ospa nie może ręki zeszpecić. Szczepienie zaś na nóżce jest dla matki o wiele kłopotliwsze, chociażby ze względu na trudność utrzymania miejsca szczepionego w odpowiedniej czystości.

5. Pani Wandzie Nosowiczowej. Odra jest najbardziej zakaźna w tak zwanym okresie zwiastunów, t. j. przed wystąpieniem wysypki.

6. Pani Kazimierze Ziembowej. Będę interwenjował w administracji pisma.

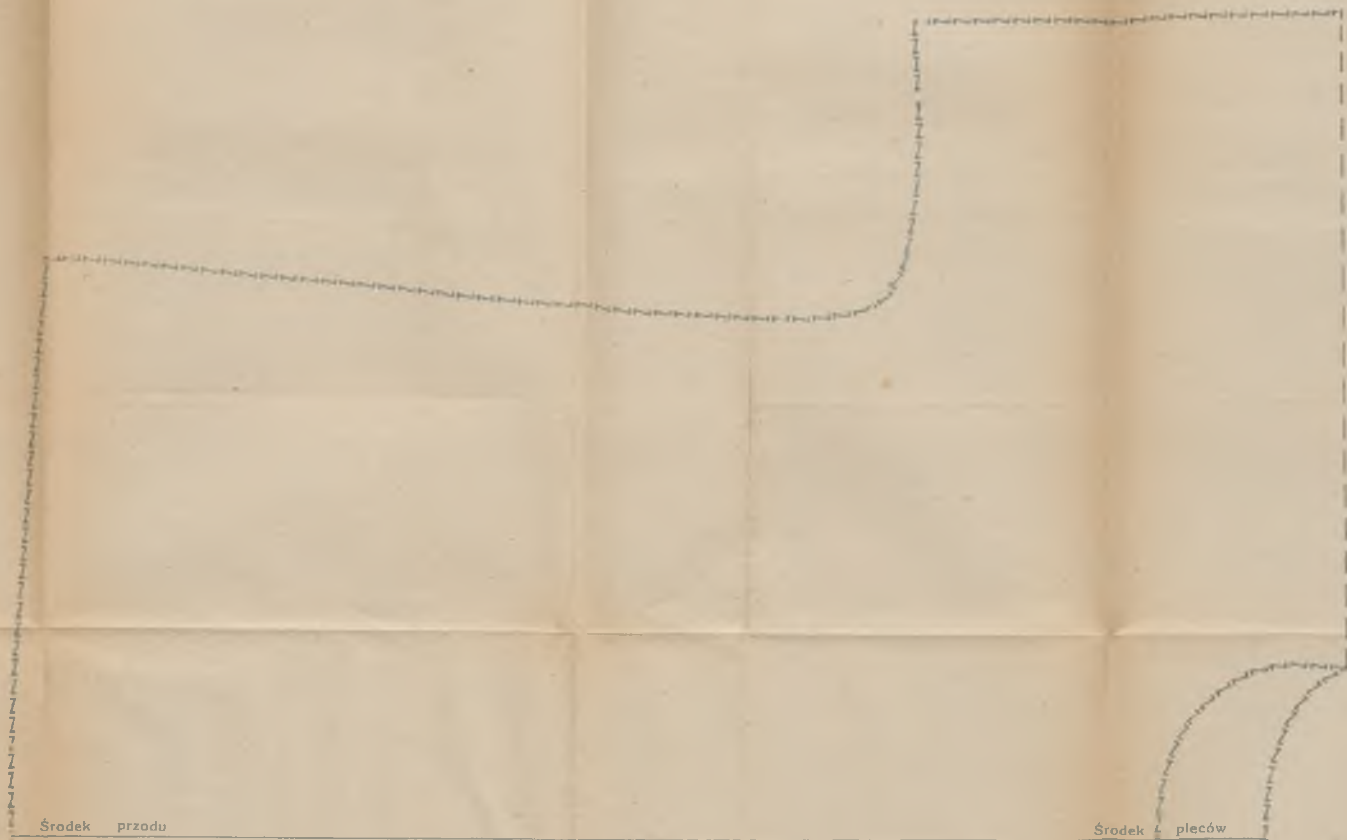
Drukarnia „Kobiety Współczesnej", Marszałkowska 148.

DODATEK·DO NR-U 12 DWUTYGODNIKA „MŁODA·MATKA"

MAKATKA NAD UMYWALNIE
SCIEGIEM SZNURECZKOWYM

KWIATKI DO SUKIENEK
FARTUSZKOW I.T.P.




Środek przodu
Środek pleców